

Terra Nova Equestrica

[Oneshot][SoL][Anthro][Steampunk][Lokowanie produktu]

Nienawidzę morza. Nie znoszę go, nie cierpię, nie trawię, a wręcz nienawidzę. Śmierdząca, słona breja, do której od setek lat spływają szczyny, gówna i cholera wie co jeszcze. Dom dla wszelkiego paskudztwa, które stwórcy tego świata nie wyszło. Galaretki, która parzy? Hyc do wody. Smark w skorupce? Hyc do wody. Samonadymający się jeź? Hyc do wody.

W ogóle, to gdybym miał pływać, dostałbym płetwy zamiast kopyt i błony między palcami. Ale nie dostałem. Jestem normalnym, chodzącym po ziemi facetem. Nie dla mnie jakieś pływanie.

Niestety muszę siedzieć na tej łajbie przez najbliższe trzy tygodnie, patrząc na to mokre obrzydlistwo. Gdyby była inna opcja pewnie bym z niej skorzystał, ale do Nowej Equestrii była tylko jedna droga. Morska. Trzy tygodnie telepania się na pieprzonym statku.

W zasadzie, to może była inna droga. Gdybym był jakimś, cholernym, srającym forsa bogaczem zapewne wynająłbym z ośmiu skrzydlatych na dwutygodniowy przelot nad oceanem. Nie była to bezpieczna droga i kosztowała tyle, że mógłbym kupić za to dobry paromobil, albo i dwa. Więc zapewne nawet jak miałbym dość kasy, to bym jej na to nie wydał. Pozostawał więc statek.

Tu trafiła mi się dobra okazja. Zamiast płacić za rejs, zaciągnąłem się jako mechanik na statek towarowy. W zamian za transport, będę doglądał maszyn parowych, naprawiał je, latał awarie w statkowym sprzęcie i tego typu sprawy. Spać będę na posłaniu w maszynowni. Niezbyt wysoka cena, jak za transport przez to mokre, słone świństwo.

– Co tam Stellar? Co tak stoisz jak słup soli i gapisz się na silnik? Silnika trzystopniowego nie widziałeś? – Spytał mechanik okrętowy, Coal Apple.

– Widziałem. To silnik marki *What?*. Są to bardzo dobre silniki. Docenione przez Przegląd Techniczny.

– Istotnie. A Przegląd Techniczny to wspaniałe czasopismo techniczne. Powiedziałbym, że najlepsze. Ale zastanawiasz się pewnie, co będziesz robił, co?

Skinąłem głową.

– W sumie, to co i pewnie na każdym statku Pilnować by maszynka się nie rozpadła, a mazut płynął do kociołka nieprzerwanym strumieniem. Dużo roboty nie ma. Będzie prawie jak na wakacjach.

– Coś mi mówi, że nie mówisz mi całej prawdy – westchnąłem, podchodząc do bloku silnika. – Ta ślicznotka wygląda solidnie, ale czuję w kościach, że coś ją trapi.

– Ślicznotka? A myślałem, że to tylko ja mam zryty beret – zaśmiał się przyjacielsko. – Widzę jednak, że trafiłem na swego. To ekstra. Rejs szybciej ci zleci.

– Ano – mruknąłem, oglądając z bliska silnik.

Jednostka napędzająca statek nie była zbyt wyrafinowana mimo swego pochodzenia. Trzy cylindry niskoprężne, trzy średnioprężne i trzy wysokoprężne. Wszystko by jak najlepiej wykorzystać parę i zaoszczędzić jak najwięcej paliwa. A skoro można zabrać mniej czarnego złota, to można załadować więcej towarów na handel.

– Muszę przyznać, że pompa mazutowa to prawdziwy cud. Produkcja krajowa zakładów *Flush*. Dobrze wspierać krajowy przemysł. I dobrze jest mieć pompę.

– Fakt – przyznałem. Choć czyszczenie układu doprowadzającego mazut przynajmniej raz w tygodniu to upierdliwa robota. Do tego sprawdzanie przecieków i wszędzie te tłuste spaliny.

– Ale w zębach nie chrupie. Uśmiechnij się, pesymisto. Będzie dobrze.

Dalszą dyskusję przerwał sygnał z głośnika zawieszonego pod sufitem. Przemawiała z niego nasza cudowna kapitan.

– Maszynownia, rozpalcie kotły. Za pięć minut wychodzimy z portu.

– Tajest pani kapitan – zawołał rażno Coal Apple, salutując przy tym niewprawnie. Jednocześnie wcisnął włącznik interkomu. Ja tymczasem podszedłem do podwójnego kotła i spojrzałem w palenisko. Było mocno osłonięte żeby wyeliminować straty energii i nas nie usmażyć. Jednak przez otwór kontrolny widać było, że pali się tyle co nic. To znaczy, że nie ma pary, a więc nie ma pomp. Na całe szczęście była i ręczna pompa pozwalająca uruchomić maszynę bez pracy silnika. Powinni zastosować tu nowoczesne rozwiązanie w postaci osobnego silnika napędzającego małą turbinę poddającą mazut.

– Hej, Apple, rusz zadek i pomóż mi z pompą – rzuciłem, napierając na drąg.

– Już idę, Stellar – odparł z niegasnącym optymizmem, po czym stanął naprzeciwko.

– Jedziemy z tym koksem, chcę już wyjść w morze. Lubię jego zapach identyczny z odświeżaczem powietrza braci Flim Flam. Zapach morza w każdym domu.

– Osobiście wolę ich aromat lasu. Bo dla mnie morze śmierdzi. Poza tym, ja chce już być na lądzie – burknąłem, wysilając mięśnie. – Im szybciej ruszymy, tym szybciej dopłyniemy.

– Czyżbyś nie lubił wody? – spytał. – A podobno wszyscy posiadacze rogów kochają ocean.

– To ja jestem wyjątkiem. Nie cierpię tego gówna. Śmierdzi i jest paskudne.

– To czemu płyniesz z nami? – spytał, nie przestając kręcić. Miał krzepę, to trzeba mu przyznać.

– Bo innej drogi do Nowej Equestrii nie ma. A skoro już mam płynąć, to niech chociaż będzie jakieś zajęcie, co nie? Poza tym, tak jest taniej.

– Ma sens – przyznał.

– Dobra, jest temperatura – powiedziałem. – Dasz radę kręcić chwilę sam?

– Jednym dali magiczną fujarę na czole, by mogli jeść kanapki, pić herbatę i czytać gazetę na raz, inni dostali parę w łapach.

– Dobra, czyli nie muszę się spieszyć? – spytałem, puszczając korbę. Pompa miała duży opór, ale on nie dał tego po sobie poznać. Otworzyłem zawór, wpuszczając do kotła więcej wody. Po chwili wskazówka manometru podskoczyła i można było puścić parę do cylindrów.

Silnik zaczął pracować, stukając miarowo. Carbon Apple puścił korbę od ręcznej pompy i podszedł do mikrofonu wiszącego na ścianie.

– Pani kapitan, melduję, że pod kotłem rozpalone. Za chwile będzie gorąca woda na kąpiel.

– Bardzo śmieszne – rozległo się z głośnika. Sądząc po głosie, pani kapitan była w dobrym humorze. Podobno zawsze taka była, jak wyruszała z portu. Widać kochała te słone pomyje, jak ja stały ład. – Jak silnik?

– Wał śruby trochę stuka – powiedziałem, podchodząc do mikrofonu. – Prawdopodobnie przestanie, jak się przesmaruje. W najgorszym wypadku sprawdzi się mocowania i zerknie czy się nie skrzywił.

– Spokojnie. Nie mamy czasu na przestoje w morzu – powiedziała kapitan. – Jeśli nie rozleci się po drodze, to nie będziemy ruszać póki nie zawiniemy do portu.

– A kto mówi o przestojach? – spytałem. Przecież rozwiązanie było oczywiste. W końcu pisali o nim w *Poradniku młodego mechanika*. – Bez problemu to zrobię w biegu.

Apple spojrzał na mnie jak na wariata, a głośnik zamilkł. Zupełnie jakbym powiedział coś dziwnego. Widocznie oboje nie czytali prasy branżowej. A przecież wszyscy wiedzą, że w tej branży należy czytać prasę.

– No co? Nawet bez pomocy magii idzie naprostować wał w ruchu, jeśli nie jest za mocno skrzywiony, ani za gruby. Tak czy siak, to zapewne smarowanie.

– Miejmy nadzieję, że to tylko niedostatek smaru – odparła po chwili kapitan. – W razie czego zawsze możesz poprosić kuka o trochę oleju z pierwszego tłoczenia na zimno. Nadaje on mięsu cudowny smak i można go stosować nie tylko do smażenia. Poza tym są jakieś problemy?

– Nie – odparłem. – Jak dla mnie żadnych.

– Apple?

– Nie, nic nie ma – odparł nieco zaskoczony. – Możemy płynąć na koniec świata – dodał ze swym optymizmem.

– Dobra, to wyruszamy – oznajmiła, po czym się rozłączyła. Poczułem jak podłoga zadrżała i statek się porusza. Apple podbiegł do bulaja i wyrzwał na przesuwający się widok. Manhattan nie był uroczym miastem, zwłaszcza jego dzielnica portowa, ale i tak lepsze to niż ocean.

– Hej, Stellar, chodź na pokład, to sobie obejrzymy bez szybki.

– W sumie, czemu nie – odparłem nie wiedzieć czemu. Może to jego niezmierny entuzjazm, przez który od razu go polubiłem mnie przekonał. Kto wie? Tak czy siak, poszedłem za nim na główny pokład.

Widok faktycznie był zapierający dech w piersiach. Nasza olbrzymia, stalowa łajba przesuwała się leniwie wzdłuż wybrzeża, płynąc w stałej odległości od lądu. Gęsto ustawione budynki przesuwały się jednostajnie niczym film w kinematografie.

W końcu wybrzeże pozostało za nami. Kapitan zaczęła robić zwrot, który oddali nas od bezpiecznego lądu i rzucił w objęcia oceanu. Po raz ostatni spojrzałem za siebie. Słona breja rosła między mną a domem. W sumie to dobrze.

Załoga zaczęła znikać z pokładu. Sam też postanowiłem zejść do naszej, ciemnej nory i sprawdzić czy wał przestał zgrzytać. Smar już dawno powinien wejść wszędzie gdzie się tylko da.

Wał dalej zgrzytał. Zdążyłem już sprawdzić pół silnika i przekładnię, nie zatrzymując całości, ale nie znalazłem sposobu by rozwiązać problem. Z drugiej strony zdążyłem się już przyzwyczaić do tego. Tak samo jak do kołysania i dość gadatliwego Apple'a.

Na szczęście teraz gdzieś polazł i miałem spokój. Wróciłem do rozważania, które w Equestrii uznano by za bredzenie szaleńca. W końcu zamiast palić mazut w piecu, by generować parę, można palić mazut w cylindrach by generować energię. Oczywiście trzeba by cały silnik zbudować od nowa, ale to nie jest niewykonalne.

Rozległ się sygnał obiadowy, wyrrywając mnie z rozmyślań. Nie byłem pewien, czy to dobrze. Niby człowiek robi się głodny, ale z drugiej strony przy okrętowym kucharzu ochota na jedzenie potrafiła szybko przejść. Nawet nie chodziło o to, że źle gotował, bo to mu akurat szło. Po prostu nasz wspañy kucharz był amatorem wędkarstwa. W związku z tym, pół dnia siedział na dupie, mocząc w wodzie kawałek sznurka na kiju i wyciągał ryby, jakieś muszle i inne paskudztwa, które nawet mimo jego czarów pozostawały oślizgłe i śmierdzące. Nie wiem co za desperat to wymyślił.

Tak czy siak, trzeba było ruszyć zadek, wytrzeć ogon z oleju i pójść coś w siebie wrzucić. Złapałem szmatę, która ostatni raz była prana w roku wygnania Luny na księżyc i oczyściłem nią chwost najlepiej jak się dało. Dobrze, że miał ciemnobrązowy kolor. Mniej było widać plamy. A w najgorszym wypadku można go było przyciąć.

W drzwiach minąłem Apple'a, który zjadł na poprzedniej zmianie i teraz zajmie się pilnowaniem maszyn.

– Ryba? – spytałem smutno.

– Nie tym razem – odparł radośnie. – Tym razem będzie delfin.

– Przecież to też ryba – jęknąłem.

– W zasadzie to nie. No i smakuje jak kurczak – zażartował. – Myśl o tym jak o kurczaku. Takim trochę bezkształtnym. Ale powiem ci, że jest naprawdę dobry. No i jest z ryżem. A ryż zawiera dużo węglowodanów i ma wiele wartości odżywczych. Ryż to samo zdrowie.

– Dobra. Wszystko będzie lepsze od tego wczorajszego paskudztwa. Co to w ogóle było? Jakieś robactwo?

– Małże. Całkiem dobre. Zwłaszcza z pomarańczą.

– Szlag by trafił całą ta wodę z tym cholerstwem – burknąłem, po czym wyszedłem spróbować delfina, który smakował jak kurczak. Jakby nie można było podać prawdziwego kurczaka.

Na pokładzie nie było zbyt wielu marynarzy. Kilku szorowało deski, ktoś latał w powietrzu, doglądając masztu, który służył chyba do niczego. Znacząco można było na nim rozwiesić żagiel zwinięty obecnie w magazynie, ale to tylko wtedy, gdy maszyna parowa zdychała. A to się działo jedynie jak zabrakło paliwa. Jednostka na tej łajbie była solidna jak mało co. W końcu to *What?*.

– Obiad, co? – spytała urocza, skrzydlata Windy, która właśnie zeszła z bocianiego gniazda. Kolejnego reliktu epoki żaglowców. Wprawdzie było znacznie wygodniejsze od dawnych, miało fotel, dach i było oszklone, ale nadal bez sensu.

– Ta. Znów morskie pomyje – odparłem.

– Nie rozumiem was, szczurów lądowych. Morze jest piękne. Żywi, daje wolność, emocje... Jest prawie tak piękne jak niebo. I równie wolne. Tu dopiero czujesz, że żyjesz.

– Jest mokre, śmierdzi i stanowi dom dla gorszego paskudztwa niż Gryfingowie.

– Szczury lądowe – zaśmiała się, po czym ruszyła przodem. Spojrzałem na jej długi ogon i bliźnę na lewej nodze. Wolałbym nie wiedzieć, skąd ją ma.

Ruszyłem za nią do mesy. Obecna zmiana już tam była. Przy stole kapitańskim siedziała kapitan w towarzystwie nawigatora. Jak na harpię wyglądała bardzo ładnie. Powiedziałbym, że zabójczo ładnie. Trochę jak postać z książek o piratach. Zdarzyło mi się z nią porozmawiać jak się zaokrętowałem. Budziła szacunek i emanowała siłą. Z tego, co mówił mi Apple, podobno była kapitanem okrętu wojkowego, ale ją wywalili. Nikt nie wie za co, ale nikt nie pyta. To jej sprawa. Zechce to powie, nie zechce, nie powie.

Wziąłem od kucharza talerz i przysiadłem się do stolika zajmowanego przez dwóch tragarzy, którzy również skorzystali z opcji transportu za pracę. Ich zadaniem było dbanie o ładunek i podstawowe prace na statku. Póki nie było sztormu, ani innej katastrofy, nie mieli za dużo roboty.

Muszę przyznać, że gdybym nie wiedział, że to delfin, to bym nie zgadł. Faktycznie smakował jak coś, co w Canterlocie nazywają mięsem. Tak czy siak, był lepszy niż te glutry wczoraj. I nie trzeba było walić młotkiem w opakowanie.

– Nawet jadalne – mruknąłem, skrapiając obficie cytryną. Owoców mieliśmy akurat dostatek. Każdy marynarz bał się skorbutu, więc codziennie dostawialiśmy solidną porcję. Dziś po jednej cytrynie na głowę, jabłko i sok. A do kolacji pewnie znów sok i jabłko.

– Też bym wolał kawałek prawdziwej wołowiny, a nie tej paćki dla dzieci – wspomniał jeden z barczystych, brodatych speców od ładunku. Zdecydowanie wolałbym żeby żaden z nich mi nie przyładował. – Najlepsze steki podawali zawsze w *Calypso*. Zawsze wysmażone tak jak lubisz.

– Marudzicie. – Ten drugi, jasnobrązowy, z krótkim warkoczem był znacznie większym optymistą i nie narzekał na nic. A już zwłaszcza na żarcie. – Mnie się tam podoba taka odmiana. Można nowych smaków spróbować, spojrzeć na jedzenie z innej perspektywy.

– Perspektywa, srspektywa – burknął. – Oddałbym dniówkę za kawał prawdziwej, suszonej wołowinki na ostro, albo stek. Jak tylko dopłyniemy, kupię sobie porządną obiad. Najlepiej stek z kiszona kapustą i ziemniakami.

– Ziemniaki najzdrowsze tylko w mundurkach. Mundur nawet z ziemniaka zrobi człowieka.

– Podobno tam, w Nowej Equestrii zupełnie inaczej gotują – mruknąłem między kęsami delfina. Cytryna zabiła jego paskudny posmak. – Nie patrz na jakieś dyrdymały, jak humus, gluten, czy inne pierdoły. Gotują normalnie, jak nasze babcie. Smacznie i zdrowo.

– Już mi się to podoba.

Statkiem wstrząsnęła spora fala, a zaraz po niej kolejna. Kubki nie przewróciły się tylko dlatego, że były w odpowiednich uchwytach. Talerze jednak podjechały do krawędzi stołu i wróciły z kolejnym przechyłem.

– Duża ta fala – zauważył ten niewesoły.

– Chyba nie boicie się odrobiny kołysania, co? – Ten drugi złapał swój uciekający talerz, jakby to było coś zwyczajnego i starł resztę sosu kawałkiem chleba. – Przynajmniej nie jest nudno.

Kapitan chyba przysłuchiwała się naszej rozmowie, gdyż jej wzrok za często padał na nasz stolik. Jej mina wskazywała na pewne wątpliwości. Zupełnie jakby zastanawiała się czy nam coś powiedzieć, czy też nie.

Bitą za twą myśl – pomyślałem, ale wołałem nie mówić tego na głos. A już na pewno bez tradycyjnego: *pani kapitan*. Była na tym punkcie strasznie przeczulona i już raz go skłęła jak się zapomniała. Może miała w tym jakiś sens. Zapewne chodziło o dyscyplinę na jednostce. A dyscyplina musi być, bo bez dyscypliny jest chaos.

– Mnie to tam nie przeszkadza. Byleby dopłynąć w jednym kawałku – powiedziałem, patrząc w bulaj. Za nim rozpościerały się dwie warstwy niebieskiego. Pofalowana micha pomyj, wypełniona różnym plugastwem, śmierdząca na milę rybą i solą, oraz niebo.

– Jak myślicie, jak tam jest? – spytał ten wiecznie radosny. – Podobno warunki są tam ciężkie.

– Miasta dopiero powstają. Jest kilka portowych, ale w głąb lądu tylko małe wioski, samotne gospodarstwa i osady górnicze. Szybko się jednak rozwijają.

– Nic dziwnego. Większość inteligentnych ludzi próbująca przebić się przez skostniałą tradycję betonowych łbów dała sobie spokój i wyjechała gdzieś, gdzie można się rozwijać. Już po dwudziestu latach jest podstawowa kolej, przemysł metalowy... Podobno nawet zaczynają tam wydobywać ropę naftową i robić naftę oraz mazut. W tym tempie wyprzedzi zbetoniąły Canterlot za kolejne lat dziesięć.

Oboje pokiwali głowami. Widocznie i oni mieli takie samo zdanie na temat porządków panujących w kraju. Albo tak wyglądali.

Na tym nasza rozmowa się urwała. Dojadłem delfina, dopiłem sok i poszedłem oddać talerz. Pora było wrócić na posterunek i doglądać maszynę.

Oczywiście ten rejs musiał się zepsuć. Kiedy tylko smród morza przestał mnie drażnić, musiała się rozpocząć burza. Nie był to wprawdzie sztorm, ale to kołysanie było irytujące z dwóch powodów. Po pierwsze, co chwila uciekał mi poziom, a razem z nim turlały się nieprzymocowane narzędzia, chlupał olej i w ogóle było niewygodnie. A poza tym, Coal Apple modlił się już od kwadransa. To dopiero było irytujące.

– „Luno, patronko marynarzy, opiekunko podróżujących przez błękity, miej nas w opiece. Błagamy cię o to.

– Jak tak na to patrzę, to chyba Luna ma okres – rzuciłem nieco zirytowany. Efekt niestety był odwrotny do spodziewanego.

– Nie Błuźnij – warknął święcie oburzony. – Luno, nie słuchaj go. On jest szczurem lądowym i nie rozumie twojej potęgi.

Chciałem coś powiedzieć o opium i zgubie ludzkości, ale westchnąłem tylko i złapałem turlający się obok kłęb pakuła do uszczelniania rur. Oddarłem dwa spore kłęby i zatkałem swoje uszy. Owinęła mnie błoga cisza. Tylko mruczenie silnika, metaliczne stukanie i jakieś szумы. Zero pierdolenia.

Wyjąłem z kieszeni kamizelki notatnik, a z brody krótki ołówek. Próbując ignorować coraz silniejsze kołysanie zabrałem się do schematycznego szkicu, który zacząłem kilka dni temu. Zastanawiałem się, jak zapalić mazut w cylindrze, w odpowiednim momencie. Znaczący, dobranie momentu to pikuś, gorzej z samym zapaleniem. Może iskrownik? Albo lepiej. Zapalarka rubinowa. Między dwoma rubinami nasączonymi zakłębem można stworzyć płomień. Jakby tak wyzwałać zakłęb przy pomocy impulsu elektrycznego, toby mogło działać. Można je spotkać w zapalniczkach *Kopeć*. Z nimi można kopcić w każdych warunkach.

Z rozmyślań wyrwał mnie metaliczny huk, który przedarł się przez pakuły. Apple odruchowo rzucił się na ziemię, nakrywając głowę rękoma. Sam też nieco się przeraziłem i odruchowo skryłem za skrzynką.

– Co to było?! Co tam się dzieje?! – krzyknęła przez interkom pani kapitan.

– Już zerkam – odparłem, wstając z podłogi. Zupełnie zapomniałem, że bez naciśnięcia przycisku ona mnie nie usłyszy. Zaraz się poprawiłem, przekrzykując gwizdek parowy.

Apple już stał przy kotle, zmniejszając dopływ mazutu. Rzuciłem okiem na wskaźniki i dopadłem do ręcznej pompy wody. Po drodze zamknąłem dopływ pary do silnika, który po tym huku się zablokował, co groziło jego zniszczeniem.

– Co to było? – spytał, gorączkowo obniżając temperaturę kotła.

– Nasz wał.

W zasadzie nie trzeba było być tytanem techniki silnikowej by odkryć winowajcę. Wał pękł z hukiem, rozrywając osłonę wykonaną z pięciomilimetrowej blachy mosiężnej i się zablokował, zatrzymując cały silnik. Było blisko poważniejszego wypadku. Zwłaszcza, że jeden z odłamków wbił się w skrzynię, za którą się rzuciłem.

– Maszynownia, raport! – zażądała pani kapitan. – Co się stało?!

– Wał napędowy się nam rozleciał – powiedziałem, odrywając się od maszynierii. Problem gwałtownego wzrostu temperatury i ciśnienia został zażegnany. – Fragment tuż za silnikiem. Ten, który był krzywy – dodałem.

– Ile potrwa naprawa? – spytała wprost, nie siląc się na komentarz.

– Nie wiem. Musimy ocenić szkody i zobaczyć co się da zrobić. Może uda się jakoś wał naprawić, ale bez warsztatu może być ciężko.

– Nie obchodzi mnie jak to zrobicie, ale jeszcze dziś chcę usłyszeć chodzący silnik. Do roboty!

Miałem ochotę coś powiedzieć na temat tego co ja chcę, ale ugryzłem się w język. Mam większe zmartwienia niż jakaś pierzasta harpia i jej życzenia. Im szybciej się uporam z naprawą, tym szybciej będę na lądzie.

– Mamy zapasowy wał – powiedział Coal Apple. – Nie zdążyli nam wymienić w porcie zanim była furtka dla nas. Gdybyśmy się spóźnili, nie moglibyśmy wypłynąć przez tydzień.

– Dobrze chociaż to – westchnąłem. – To gdzie jest ten ratunek dla naszej ślicznotki?

– A wiesz, że nie wiem. Mieli go zapakować gdzieś do przedziału silnikowego.

Na taką odpowiedź możliwe były dwie reakcje. Jako, że byłem na statku wśród marynarzy i zwykła, Equestriańska kurwa nie zrobiłaby na nikim wrażenia, to postanowiłem się tradycyjnie trzepnąć w czoło, w rytualnym geście facepalmu.

– Spokojnie, znajdziemy go. Ma dwa metry i waży ze sto kilo. To nie igła w stogu siana. Luna nam pomoże.

– Oby – westchnąłem, rozpalając róg. W kątach było ciemno. A podłużne przedmioty najlepiej ustawiać w kątach, albo kłaść pod ścianami. Pozbawiony magii Apple wziął latarkę zasilaną kryształami.

– Gdzie się chowasz? – mruczał pod nosem. – Cip, cip, cip, cip. Znajdę cię.

Podziwiam jego podejście do życia. Takie zdrowe, takie radosne. Może gdybym sam takie miał, nie drażniliby mnie ci wszyscy debile i ten cały beton w Equestrii? Może zamiast wyjeżdżać, zlałbym ich i robił swoje? Nie. Na pewno nie.

– Znalazłem – zawołał, wyciągając spodędzy wręg ciężki kawał żelaza. Nie wyglądał jakby miał jakiegokolwiek problem z jego uniesieniem. Cóż, natura rekompensowała brak rogu czy skrzydeł ponadprzeciętną siłą. – To co, montujemy?

– A co innego możemy zrobić? – powiedziałem, podchodząc do niego. Wtedy spojrzałem na drąg trzymany przez niego w rękach. Wyglądał całkiem porządnie. Z resztą lepszego nie mieliśmy.

– No to do roboty – zawołał radośnie. – Bierzmy tego byka za rogi i uszczęśliwmy naszą kapitan tym drągiem.

– Dobry plan. Im szybciej się z tym uporamy, tym szybciej postawię kopyta na stałym lądzie i nie będę musiał oglądać tego słonego gówna.

Jak na złość morze postanowiło uderzyć w nas wielką falą, która otworzyła bulaj i ochlapała mnie swymi, słonymi pomyjami. Teraz już nie obeszło się bez staroequestriańskiego: *kurwa mać*. Apple zachichotał, starając się utrzymać równowagę mimo znacznych przechyłów. Nie robiło mu to trudności.

Przystąpiliśmy do dzieła. Klucze uciekały nam i wracały, ślizgając się po pokładzie. Słabe światło mojego rogu rzucało długie cienie. Nie przeszkodziło nam to jednak zdemontować resztek osłony. Wnętrze tunelu było w stanie wskazującym. Na szczęście nie był on na tyle istotny by się nim teraz martwić. Byłe wspornik się trzymał.

– Czujesz to? – spytałem, sprawdzając łożysko. – Statek chyba porusza się do przodu.

– Faktycznie – przyznał Apple, odkręcając przegub. – Musieli rozstawić żagiel.

– Żagiel w taką pogodę? To nie jest szaleństwo?

– Biorąc pod uwagę, czego kapitan Iron Heart już dokonała na tym statku, to nie. Jeśli kazała postawić żagle to znaczy, że jest gotowa stawić czoła żywiołowi. W końcu to najlepsza kapitan w Equestrii. Z Luny pomocą jej się uda.

– Zatem pospieszmy się. Bo jak na razie pomoc Luny nam nie pomogła – westchnąłem, obracając kluczem oś silnika. Musiałem się upewnić czy nic tam się nie stało. Na szczęście ta nieplanowana awaria nie wyrządziła mu żadnej szkody. Pozostało tylko przezwyciężyć kołysanie, braki światła i presję czasu. Nic trudnego. Na okręcie wojennym doszedłby jeszcze ostrzał i ciągle wrzaski stetryczalego generała.

Naprawa uszkodzeń zajęła nam dwie i pół godziny. Byłoby szybciej gdybyśmy byli na stałym lądzie, ale nie można chyba mieć wszystkiego. Poza nieszczęsnym wałem trzeba było naprawić przekładnię pompy wodnej i mazutowej. Jakimś, dziwnym trafem urwanie wału uszkodziło wałki nadawcze obu z nich. Jak nie urok to sraczka albo przemarsz wojsk. Dobrze, że dało się poskładać to, co uległo awarii.

– To co, odpalamy?

– Jasne – odparłem. – Rozruszajmy tą małą i zabierajmy się stąd.

Apple zaczął otwierać zawory, ja zaś obserwowałem wskaźniki. Pary było dość na rozruch, ale coś nie grało. Ciśnienie mazutu było zbyt niskie.

– Też to czujesz? – spytał Apple, pociągając nosem.

– Mazut. Ale nie palony – przyznałem. – To wyciek!

Wyciek mógłby się źle skończyć. Bardzo źle. Wprawdzie kocioł miał bardzo dobrze osłonięte palenisko, ale to nic nie zmienia. Poza tym, mazut jest śliski i bardzo źle się spiera. A tylko proszek *Canterlot* spiera wszystkie plamy, nawet tłuste i nie niszczy rąk. Książniczki piorą tylko w proszku *Canterlot*.

Rzuciliśmy się więc na podłogę, w czym trochę pomogła kolejna fala i zaczęliśmy szukać przecieku. Znalazłem go szybko. Obudowa pompy była pęknięta. Na szczęście kilak uderzeń młotkiem i zalepienie dziury specjalnym mazidłem załatwiło sprawę. Pozostało tylko wytrzeć mazut i wrzucić szmatę do paleniska. Buchnął potężny płomień, który wyleciał przez komin.

– Pani kapitan, melduję wykonanie zadania – powiedział do interkomu Apple. – Przywróciliśmy pełną sprawność napędu.

– Bardzo dobrze. A teraz pełna moc. Przyda się każdy kuc siedzący w tej maszynie by się z tego wyrwać.

– Się robi pani kapitan – zawołał, po czym wyłączył interkom. – To co, wyciskamy sto procent?

– Tylko? – spytałem dziwnie radośnie. Uwielbiałem, pracę z silnikami. Zawsze mnie kręciła, ale praca pod presją była czymś nowym. Czymś co kręciło mnie jeszcze bardziej. Kreatywne, nieszablonowe myślenie techniczne napędzane adrenaliną wynikającą z konieczności pośpiechu. – Wyduśmy z tej ślicznotki sto dwadzieścia procent.

– Szalejesz – zaśmiał się Apple. Widocznie i jemu służyła taka praca. – Nie możemy jej zabić, bo tu utkniemy. Zaczniemy od podniesienia ciśnienia pary.

– I zdjęcia ogranicznika. Do roboty.

Kolejna fala wstrząsnęła statkiem i coś ciężkiego uderzyło w burtę. Wzdrygnąłem się, ale szybko opanowałem strach. Przecież Morze nie może w nas ciskać rekinami. Prawda?

Chwyciłem za klucz i wziąłem się do roboty. Przyświecała mi jedna myśl. Byle szybciej stanąć na lądzie. Zmyć z siebie smród tych słonych pomyj i zjeść coś dla cywilizowanych ludzi.

Zacząłem pogwizdywać, odkręcając osłonę ogranicznika. Zgodnie z przewidywaniami był on obracającym się wałkiem z dwoma ramionami na sprężynach. Prosta i skuteczna konstrukcja. Do tego strasznie trudna do usunięcia w ruchu. No chyba, że się władało magią.

Apple zmieniał nastawy dopływu wody i mazutu, podnosząc temperaturę kotła nieco poniżej wartości krytycznej. Główny manometr wystrzelił na czerwone pole, a zaraz pod nim wystrzelił wąski strumień pary gotów przeciąć skórę, mięso, czy mosiężną blachę. Nie pokona jednak uniwersalnego mazidłolepiscza braci Flim Flam. Mazidłolepiscze uszczelni każdy przeciek i zaklei każdy otwór. Poza ustami twojej żony.

– Co dalej? – spytał nie spuszczać oczu ze wskaźników. Wyglądały w porządku, ale pewnie gdy tylko człowiek się odwróci na sekundę, polecą na czerwone pole i wystrzelą w sufit.

– Uszczelnimy zawory bezpieczeństwa i przestawimy regulatory między cylindrami. A dalej się zobaczy.

– To do roboty! – zawołał. – Kapitan nas potrzebuje.

Klucze śmignęły w powietrzu, stukając o syczącą, huczącą maszynę parową, wchodzącą na coraz wyższe obroty. Pojawiające się co chwila drobne nieszczelności latało mazidłolepiszcze. Robota szła sprawnie i szybko, jak w warsztacie pełnym skośnorogich. Szybki, równy stukot maszyny wpadał w takt gwizdania, czyniąc pracę jeszcze fajniejszą. Szkoda, że przez gorąc buchający z pochłaniającego tony mazutu paleniska sprawiał, że człowiek pocił się jak świnia. Z drugiej strony, na zewnątrz musiał hulać lodowaty wiatr, smagający słone pomyje na lewo i prawo.

Tak, zdecydowanie tu jest lepiej.

Burza trwała trzy dni. Przez cały ten czas siedzieliśmy w maszynowni prawie nie wychodząc. Jedliśmy na zmianę, głównie suchy prowiant, spaliliśmy na zmiany, nawet załatwialiśmy się na zmiany. Byle tylko nie spuszczać naszej ślicznotki z oczu. Bez niej bylibyśmy w kiepskiej sytuacji.

W końcu jednak uciekliśmy z burzy, albo ona zwyczajnie się rozeszła. Fale ustały, wiatr zelżał, deszcz przestał padać. Pani kapitan dała rozkaz by wrócić do ustawień ekonomicznych, co też uczyniliśmy i zdać raport ze stanu maszyny. Okazało się, że praca pod presją nie służyła naszej ślicznotce. Nie było to jednak nic, czego nie dałoby się naprawić na miejscu, w wolnej chwili.

Stałem sobie obecnie na dziobie, patrząc w dal. Liczyłem, że za chwilę pojawi się skrawek brązu, albo zieleni świadczący, że niedługo pożegnám się z tym głównym i stanę na stałym lądzie. Choć morze przestało mnie wnerwiać tak jak pierwszego dnia rejsu, to i tak miałem go serdecznie dosyć. Niech ginie.

– Wypatrujesz lądu?

Odwróciłem się. Za mną stał pierwszy oficer palący papierosa. Wysoki, szeroki ze spojrzeniem typowego marynarza, który jak przywali to człowiek odleci dziesięć metrów i nakryje się własnym ogonem. Efekt psuły tylko różowe loki spływające na szaroniebieskie ramiona i równie różowa, gęsta broda.

– Tak – przyznałem. – Czekam aż wreszcie przestanę oglądać i wachać te pomyje, do których cały świat wylewa swoje szczyny i inne gówno.

– Zabawnys – zaśmiał się. – Morze jest cudowne. Żywi, daje pracę, odzieje nawet. Bez morza świat żyć nie może.

– Chociażby mi się oświadczyło, to nie chciałbym go oglądać. Wygląda gorzej niż tłusta, stara prukwa, która wytarzała się w gnojówce.

– Bardzo obrazowe jak na mieszczucha – zaśmiał się ponownie. – Zmartwię cię szcurku lądowy. Najbliższa ziemia, którą zobaczymy, to będzie jakiś biedny archipelag

zamieszkanymi przez dzikusów odzianych w liście palmy. Mają całkiem ładne kobiety, jak się je umyje, ale nic poza tym. Nowa Equestria dopiero za trzy dni.

– Jeszcze pół tygodnia tego syfu?

– Nie marudź już tak. Masz słońce, spokojną wodę, bez fali. Windy mówiła, że tak się utrzyma aż do końca. Będziesz mógł się wygrzać.

– A silnik sam się połata po tej gonitwie ze sztormem? – rzuciłem złośliwie.

– To nie był sztorm, szurku lądowy. To nawet nie było blisko sztormu. A wiem co mówię, bo płynęliśmy kiedyś podczas dziesiątki. To dopiero była jazda. Naszą łajbą miotało na lewo i prawo, błyskawice waliły szybciej niż kartaczownica, wiatr wył jakby chciał zwiastować koniec świata. Niejeden modlił się pod nosem, starając się nie dać splukać z pokładu, nie oberwać czymś ciężkim i w ogóle przeżyć. Nasza wspaniała kapitan stała przy sterze, śmiejąc się niczym szaleniec i wyzywając matkę naturę by dała z siebie wszystko. Wtedy to był sztorm.

Milczałem. W sumie nie było co powiedzieć. Może on miał rację, że to była tylko zwykła burza morska? Co za różnica. Była, się skończyła i można wrócić do naprawiania szkód, które tak czy siak powstały.

– Tak czy siak, trochę nam ta burza dała do wiwatu – powiedział jakby czytając w myślach. – Trochę drobnych uszkodzeń na górze. No i zmyło jedną załogantkę z pokładu – dodał smutno.

– Szkoda – odparłem bez wyrazu. Mimo, że rejs się kończył, nie znałem połowy załogi. Pewnie dlatego, że większość czasu siedziałem w maszynowni zajmując się silnikiem, robiąc szkice, lub po prostu siedząc i myśląc. Załoga była niezbędna dla okrętu, nie dla mnie.

– Fakt – mruknął. – Ale taki już los tego fachu. Morze jest piękne, inspirujące, ale i niebezpieczne. Wystarczy chwila nieuwagi by zakończyć żywot.

– I skończyć jako część tego syfu – uciałem. – Cieszę się, że wyszliśmy z tego cało i jeszcze bardziej, że już jesteśmy blisko. Ale najbardziej będę się cieszył jak już stanę na stałym lądzie i nie będę musiał tego oglądać.

– Jak uważasz – mruknął, po czym wyrzucił niedopałek za burtę i odszedł. Ja również wróciłem do zatęchłej maszynowni czyścić system odsalania wody kotłowej i regulować ciśnienie pary. Po tej gonitwie wszystko było rozregulowane.

Stałem na dziobie obok nawigatora i obserwowałem jak nasz statek wchodzi na wolnych obrotach do portu. Prowadził nas mały holownik, płynący kilka metrów przed nami. Stojący obok mnie zielonowłosy facet po czterdziestce podawał przez interkom poprawki kursu pani kapitan. Ta, mimo kabiny umieszczonej na drugim końcu poruszała wielotonowym statkiem z gracją przypominającą taniec. Zdecydowanie była właściwą osobą na właściwym miejscu.

Ten wspaniały pokaz trwał piętnaście minut. W końcu zatrzymaliśmy się przy pomoście. Kotwica poszła w dół, trap został postawiony i można było schodzić. Pierwsza oczywiście kapitan. Za nią dopiero mogli zejść pozostali. Pierwszy oficer, nawigator i cała reszta. I ja w końcu stanąłem na drewnianym pomoście, oddzielającym mnie od stałego lądu. Kilka kroków i będę w domu. Nowym domu.

Podszedłem do pani kapitan, która kończyła właśnie rozmawiać z szefem portu. Już za chwilę rozpocznie się rozładunek przywiezionego towaru, którego miejsce zajmie tytoń, przyprawy, złoto i inne rzeczy, które opłacało się wozić przez ocean.

– Dziękuję za transport, pani kapitan – powiedziałem, patrząc w jej orzechowe oczy.

– A ja dziękuję za współpracę. Niby szczer lądowy, a jednak pożytek z ciebie był – zaśmiała się. – Może zostaniesz? Jeszcze zrobię z ciebie marynarza. Może nawet pokochasz morze.

– Mowy nie ma. Nie chcę oglądać tej balii pomyj dłużej niż to konieczne.

– Jak chcesz. Ale jak zmienisz zdanie, to wiesz kogo szukać.

– Może, kto wie. – Wzruszyłem ramionami i pożegnałem się z nią, a później z resztą załogi. Najdłużej zeszło mi z Applem, który strasznie się do mnie przywiązał przez te trzy tygodnie. W końcu jednak się odkleił i mogłem zejść na ląd.

Zostawiłem za sobą śmierdzącą, słoną breję wypełnioną wszelkim plugastwem, które stwórcy tego świata nie wyszło i wszedłem do portowego, Nowego Baltimore. Tam miałem zamiar złapać pociąg, który zabierze mnie do z góry ustalonego celu. Niedużego miasteczka w pobliżu kopalni żelaza i huty, które miało stać się dla mnie nowym domem. Hornvile. Miasto ludzi inteligentnych, postępowych i pracowitych. A przynajmniej tak mi je opisywano.

Zacząłem gwizdać idąc raźnie przez miasto. Cały ten skostniały burdel i beton został za mną. A przede mną rozpościerały się nowe perspektywy. Perspektywy, których wizja wprowadzała mnie w dobry humor.